ŚWIADEK NAJWYŻSZEJ PRÓBY

Anna Semkowicz rozmawia z Wandą Ossowską*

To pamiętne powitanie na Majdanku. Starsza, siwa pani mówiąca ściszonym głosem do papieża Jana Pawła II. Nie znaliśmy wtedy jej nazwiska ani tym bardziej jej życia, ale narzucało się pytanie: kim jest osoba, z którą wita się tak serdecznie Ojciec Święty?

Pani Wanda Ossowska, urodzona w kwietniu 1912 r., pielęgniarka. Pracowała ponad pół wieku w swoim zawodzie, odeszła na emeryturę mając 74 lata. Tam na Majdanku była jedną spośród byłych więźniarek obozu...

A. S.: Nie mogę zapomnieć tej sceny. 9 czerwca 1987 r. oglądałam relację telewizyjną z pobytu Ojca Świętego na Majdanku. Zastanawiałam się, co Pani myśli, czuje, przeżywa rozmawiając z Papieżem...

W. O.: Po wizycie Ojca Świętego rzeczywiście moje spotkania z ludźmi były niesłychanie częste, bogate, pełne wzruszeń, nawet pełne zazdrości. Ale ja nie miałam pretensji o tę zazdrość, dlatego że każdy chciałby przeżyć to, co było dane mnie. Co jest sprawą niepowtarzalną, jedyną, nie do wyobrażenia, że właśnie ja mogłam to przeżyć.

A. S.: To było podczas III Pielgrzymki Papieża do kraju.

W. O.: Tak. Wiedzieliśmy o tym, że Ojciec Święty będzie na Majdanku. Chcieliśmy się przygotować: jakoś uroczyście, pięknie. Tymczasem władze, zarówno świeckie, jak i kościelne, zadecydowały, że nie wolno z Ojcem Świętym rozmawiać, nie wolno Go prowokować do przemówień. Miało to być tylko spotkanie modlitewne, bez żadnych dodatkowych uroczystości. Było nam szalenie przykro i gdy koledzy wybrali mnie, żebym podała Ojcu Świętemu kwiaty, nie mogłam sobie wyobrazić, że podam te kwiaty i nie powiem dwóch słów powitania, radości i miłości. Było to dla mnie nie do pojęcia. Wtedy mnie uprzedzono: nie mów o tym, co chcesz zrobić, bo cię skreślą z listy i nie pojedziesz w ogóle. Więc oczywiście nic nie mówiłam, ale gdy wróciłam do domu, napisałam sobie króciutkie przemówienie.

* Tekst rozmowy stanowi zapis audycji radiowej autorstwa Anny Semkowicz nadanej w III programie Polskiego Radia w 1989 r.

A. S.: To nie było właściwie przemówienie. To było słowo do Papieża.

W. O.: Tak, ma Pani rację. To były słowa: możliwie najserdeczniejsze, na jakie mogłam się zdobyć – ja, mały, zwykły człowiek, wobec Ojca Świętego.

A. S.: Musiało to być bardzo trudne.

W. O.: To bardzo było nie proste. Należę do ludzi raczej skromnych, nieśmiałych i tutaj nagle to wyróżnienie było dla mnie czymś niesłychanie trudnym i wzruszającym. Ciągle myślałam o tym, żeby się nie rozpłakać, żeby nie okazać wzruszenia, które przeżywałam, ale które nie powinno być w tej formie okazane. Ojciec Święty, jak mi się wydaje, świetnie to odczuł, jak jestem spięta, jak jestem wzruszona – bo to, że mnie wziął w ramiona, to że mnie uścisnął po ojcowsku, serdecznie – to było dowodem: „Nie denerwuj się, bo jestem przy tobie i jestem ci ten b l i s k i".

A. S.: Nie chce mi się wierzyć, aby Pani „film wojenny" nie wrócił podczas tego spotkania.

W. O.: Widziałam szereg moich kolegów i koleżanek, stojących wzdłuż szosy, którą Ojciec Święty przejeżdżał. Tej szosy łez, śmierci, bólu, po której właśnie ludzie szli do krematorium. I gdzie zresztą Ojciec Święty zatrzymał się przy pierwszej wieżyczce – gdy wysiadł z helikopteru – i modlił się tak skupiony, gdzie był tak zamodlony. Widziałam to z daleka, bardzo z daleka, bo jednak ta szosa ma około dwóch kilometrów, a ja stałam na początku, przy Mauzoleum. I wtedy sobie pomyślałam: za k o g o Ojciec Święty się modli? Za nas, żyjących? Za tych, którzy idąc tą szosą, szli na śmierć, nieuchronną śmierć? Czy za tych, którzy nas na tę śmierć gnali? Za kogo modlił się wtedy Ojciec Święty?

Daleko, poza polem obozowym, stał tłum ludzi, kolorowy tłum. Spojrzałam tam i natychmiast obraz mi się z m i e n i ł. Zobaczyłam ten tłum jako tłum więźniów. Zielona trawa stała się błotem, zdeptanym, brudnym, szarym. Ten tłum ludźmi obdartymi, głodnymi, czekającymi na przemarsz do krematorium. Już przestałam widzieć, że Ojciec Święty wsiada do papamobile. Dopiero energiczne ruchy bpa Pylaka, wołającego na mnie, żebym podeszła – jakoś wróciły mnie do rzeczywistości i do tego czasu, który się w tej chwili toczył. Podeszłam, weszliśmy po schodach do Mauzoleum. Ojciec Święty ukląkł i modlił się. My staliśmy. Kiedy skończył się modlić, podszedł do cokołu, ucałował go i wycofał się do wyjścia. Tam stałam ja i Ojciec Święty zatrzymał się przede mną. Natychmiast zaczęłam mówić. Biskup Pylak chciał mi przerwać, bo było powiedziane wyraźnie, że nie wolno mówić. I wtedy Ojciec Święty chwycił mnie za obydwie ręce, mnie, która tyle razy będąc w Rzymie i tutaj podczas pielgrzymek Ojca Świętego, marzyłam o tym, żebym mogła podać

Mu rękę... Nigdy nie było okazji. Powiedziałam te moje krótkie słowa powitania, zapewnienia, że się modlimy i poprosiłam o błogosławieństwo. Przyklękłam, bo rozumiałam, że to już koniec. Tymczasem Ojciec Święty mnie podtrzymał, nie pozwolił mi uklęknąć i zaczął mówić. Właśnie wtedy przekazał nam zlecenia, które do dziś staramy się wypełniać.

A. S.: To znaczy?

W. O.: Mówiąc ludziom, tłumom ludzi i o tym, jak Ojciec Święty tu był i o tym również, jak toczyła się tamta wojna, jak odbywały się przesłuchania, jak ludzie byli mordowani, a jednak w odpowiedzialności, którą na siebie wzięli, nie dali się złamać, nie zdradzili, nie wydali innych.

A. S.: Pani niezłomna postawa świadczy o tym najdobitniej. Pięćdziesiąt sześć przesłuchań w Alei Szucha i na Pawiaku. Kiedy wybuchła wojna, miała Pani 27 lat...

W. O.: Byłam rzeczywiście bardzo młoda. Wojna zastała mnie we Lwowie, ponieważ tam wysłano mnie ze szkoły do sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża, gdzie pracowałam jako pielęgniarka odcinkowa, potem jako przełożona.

A. S.: Ukończyła Pani Szkołę Pielęgniarstwa PCK?

W. O.: Tak, w Warszawie, na Smolnej. Pojechałam do Lwowa pełna radości, bo mój brat był już tam w Korpusie Kadetów. Byliśmy najmłodsi z siódemki rodzeństwa i fakt, że mogliśmy być we dwójkę z bratem, bardzo ułatwiał nam życie. Tak trwało do 1939 r., kiedy jako pielęgniarka chirurgiczna otrzymałam kartę mobilizacyjną. Przydzielono całą naszą grupę do 604 Szpitala Wojennego przy ul. Kurkowej. Tam pracowałam na sali operacyjnej bez wytchnienia do momentu, kiedy zabrakło wody i światła (elektrownia została rozbita) i jeszcze w dodatku upadła bomba pod ścianą sali operacyjnej, znajdującej się na pierwszym piętrze. Był tak szalony wybuch i podmuch bomby, że całą ścianę wtłoczyło do środka.

A. S.: Czy to się działo podczas operacji?

W. O.: Na nieszczęście, tak. Na stole operacyjnym chłopak z otwartą jamą brzuszną. Wszystko było zasypane gruzem, szkłem, wapnem. Oczywiście, dla tego chłopca nie było ratunku. Zmarł na stole, a my zostaliśmy pozbawieni możliwości dalszych operacji. 22 września do Lwowa weszły dwie armie: od Łyczakowa – radziecka, od Kulparkowa – niemiecka. Te armie bardzo szybko porozumiały się ze sobą. Niemcy się wycofali, a Rosjanie zajęli tereny do Bugu. Ja pracowałam jeszcze przez jakiś czas w tym szpitalu. Orientowaliśmy się świetnie, że trzeba usunąć oficerów ze szpitala, bo oficerowie byli przede wszystkim narażeni, jeśli chodzi o władze radzieckie. Co z nimi zrobić? Całe noce niszczyliśmy karty chorobowe, a z mundurów, które

były w magazynach, odrywało się dystynkcje, ale to jeszcze nie było wszystko. Bo pozostawały twarze... Twarze tych inteligentnych ludzi, które...

A. S.: ...od razu zdradzały ich pochodzenie.

W. O.: No, właśnie! Wobec tego trzeba było tych chorych ludzi usuwać. Wczesnym rankiem lub o zmroku wyprowadzało się ich o kulach, na wózkach, na noszach – do prywatnych willi, do prywatnych mieszkań. W końcu września czy na początku października wyszedł rozkaz, że wszyscy mamy wrócić na dawne miejsca pracy. Wróciłam wtedy do sanatorium PCK, gdzie już w tym czasie mieścił się szpital NKWD. Chyba w połowie listopada aresztowano dyrektora sanatorium – dra Leszka Jaklińskiego. Od razu była nagonka na mnie, ponieważ wiadomo było, że pracując jako przełożona, należałam do najbliższych współpracowników doktora. Wobec tego musiałam zlikwidować mój dom, bo czekałam w każdej chwili na aresztowanie. Tymczasem do tego nie doszło. Wezwano mnie natomiast do władz konspiracyjnych i zostałam zaprzysiężona jako żołnierz Podziemia.

A. S.: Wtedy była to jeszcze Służba Zwycięstwu Polski.

W. O.: Tam właśnie moja pierwsza praca to była praca sanitarna, ale trwało to bardzo krótko i zostałam wezwana do naczelnych władz wojskowych. Już nie pracowałam z prof. Grucą, który był naczelnym lekarzem na okręg lwowski, tylko zostałam przekazana do grupy wojskowej. Przyjął mnie Kornel (prawdziwe nazwisko Mycieliński) i od razu powiedział: „Wiem, że Pani jest z Warszawy, i chcę, żeby Pani tam właśnie poszła. Pójdzie Pani?". Odpowiedziałam: „Oczywiście. Ja składałam przysięgę...".

Kontakt Warszawa – Lwów był przez Paryż, a gdy Paryż padł, to przez Londyn. Bezpośredniego kontaktu nie było, bo już granica była nie do przebycia. Wysłano mnie z rozkazem: dotrzeć do władz naczelnych na kraj, nawiązać łączność i ustalić tę łączność. Dostałam meldunki pisane na jedwabiu, które zaszyłam w poduszkach kostiumu, i wyruszyłam w 1940 r. na tę wyprawę.

A. S.: Sama?

W. O.: Nie, z młodym człowiekiem – podchorążym, który miał być moją osłoną, pomocą. Granicę przeszliśmy bez trudności dzięki harcerzowi Mietkowi Zatlejowi, który obecnie mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dziś to już jest pan sześćdziesięciokilkuletni. Znaliśmy się tydzień, spotykaliśmy się tylko wieczorem, gdy nas wyprowadzał do ogródka, po ciemku, żebyśmy odetchnęli świeżym powietrzem. On był Mietek, ja byłam Wanda i nic poza tym nie wiedzieliśmy o sobie. Tym niemniej potrafił mnie odnaleźć w 1983 r. w Polsce.

A. S.: Ile razy przekraczała Pani granicę?

W. O.: Zieloną – dwa razy. To znaczy inaczej. Ze Lwowa do Warszawy,

z Warszawy do Lwowa i wtedy złapali nas Rosjanie i aresztowali. Później, po wojnie niemiecko-rosyjskiej w 1941 r., znów przeszłam granicę z drugim młodym człowiekiem, który przyszedł do nas przez Węgry z Londynu. Następnie już przy Niemcach, kiedy potrzebne były przepustki, zezwolenia itp., jeździłam do Lwowa dwa razy bez przepustek i bez zezwoleń.

A. S.: Przekraczając pierwszy raz granicę, była Pani pierwszym kurierem ze Lwowa do Komendy Głównej na kraj?

W. O.: Tak i w Warszawie rozmawiałam z płk. Sanojcą, który w tym okresie był zastępcą gen. Grota. Przyjął mnie, przyjął meldunki, ale byłam bardzo długo sprawdzana[1]. Musiałam czekać. W końcu dostałam pieniądze, które schowałam do obcasów, oraz rozkazy, które zaszyłam w poduszki kostiumu, i kazano mi wracać z powrotem, ale własnymi ścieżkami. Warszawa też nie wskazała jakiejś ustalonej drogi, łącznikowej drogi, więc wyruszyliśmy i po prostu zabłądziliśmy. I to nas zgubiło. Zostaliśmy aresztowani. Kiedy dowieziono nas do Lwowa, odbyła się pierwsza rewizja. Rewizja niesłychanie dokładna. Stałam przerażona i patrzyłam, jak rewidują ileś tam kobiet przede mną. Przychodzi moja kolej. Podchodzą. Wzięła żakiet i przecięła go z góry na dół, w poprzek nie przecięła...

A. S.: Czyli poduszki się uratowały...

W. O.: Tak! Odrzuciła. Potem bielizna, potem ubranie. Zobaczyła medalik, zdarła mi go z szyi i rzuciła. Ten medalik świeci i ja już się nie modlę, ja krzyczę do Boga o ratunek! Bierze moje buty sportowe, mocne sznurowane buciki i mocuje się z tymi obcasami, ale nie może ich oderwać.

A. S.: Pieniądze uratowane.

W. O.: Odrywa obydwie zelówki i buty... rzuca. Proszę pani, ja bez obciążających mnie papierów wychodzę czysta! Wychodzę z moją legendą, że nazywam się Helena Press (podałam takie nazwisko przy pierwszym zatrzymaniu i nie wiem nawet, skąd przyszło mi to do głowy). Powiedziałam też, że szłam dla handlu. Tym niemniej znalazłam się w więzieniu, a tam była dziewczyna, która mnie rozpoznała. Kiedyś była posługaczką w sanatorium i została wyrzucona, bo okradała chorych.

A. S.: Teraz Panią rozpoznała.

W. O.: I od razu doniosła, że nie Helena Press, tylko Wanda Ossowska, że byłam we Lwowie i poszłam do Warszawy. Tego się czepiali i zresz-

[1] Weryfikacja łączniczki była uzasadniona podejrzeniami w stosunku do jej zwierzchnika mjr. Emila Macielińskiego (Kornela), komendanta Obozu Lwowskiego ZWZ, który był podejrzany o współpracę z NKWD. Emil Macieliński (już jako podpułkownik) został w rezultacie jesienią 1941 r. skazany na śmierć przez Wojskowy Sąd Specjalny przy KG ZWZ i zastrzelony w Warszawie w grudniu 1941 r. (Przyp. T. Strzembosz).

tą mieli podstawy. Przesłuchania były szalenie trudne. Łącznie z bunkrem, gdzie siedziałam w takiej maleńkiej, ciemnej celi. Była tam masa szczurów. Te szczury biegały, piszczały. W celi nie było nic, żeby usiąść, na podłodze było grząskie błoto. Na noc, na sześć godzin, dostawałam „jaszczyk", ale bałam się położyć, bo... te szczury. To jest dla psychologa interesująca rzecz: człowiek jest o krok od śmierci. Z bunkra idzie się na śmierć, a ja się boję nie śmierci, ja boję się szczura... I boję się go naprawdę przestrasznie. Byłam zbita nieprawdopodobnie i w końcu wróciłam do celi.

A. S.: W którym to było więzieniu?

W. O.: Po zdradzie tej dziewczyny przenieśli mnie z Brygidek – gdzie było więzienie tzw. pospolitych więźniów – do politycznego na Zamarstynów. Siedziały ze mną w celi Ukrainki, jedna Polka i jedna Żydówka. Przyszłam jako trzynasta... I znowu, co powtarzam i często mówię: wszyscy wiemy, jakie były nasze układy Ukraińcy – Polacy. Jakie były niekorzystne, często wrogie. Te dziewczyny, gdy weszłam do celi i nie miałam gdzie stanąć, nie było dla mnie miejsca, bo cela była malutka, zadały mi jedno pytanie: „Polka? Ruska? Czy Jewrejka?". Odpowiedziałam: „Polka". A jedna z tych dziewczyn mówi do mnie: „Słuchaj, myśmy się bili ze sobą, nie kochali, czy nasza wina, czy wasza, to nie będziemy o tym mówić. Teraz nas bije jedna wielka bieda. Jesteś z nami czy przeciw nam?". „Z wami". Znalazło się dla mnie miejsce. Powiem Pani więcej: NKWD-yści mieli taki straszny zwyczaj podczas przesłuchań: deptali po nogach. Miałam te buty bez zelówek, więc jak mi takie ogromne chłopisko stanęło na palcach, to czułam, jak mi pękają paznokcie, jak mi pękają kości w palcach i co mogłam zrobić? No, krzyczeć. I kiedy wróciłam do celi, to naturalnie te „niby buty" pełne były krwi; od tego czasu nigdy już nie poszłam na przesłuchanie w moich butach. Zawsze dostawałam walonki, zawsze za duże. Podkurczało się palce i krzyczało wniebogłosy, a palcom nic się nie działo. To były te odruchy.

A. S.: Ludzkie odruchy.

W. O.: Tych niby wrogich ludzi. One były miejscowe. Dostawały tzw. ławoczkę, to znaczy bieliznę, czasem chleb, czasem mydło. Wszystko to było dzielone między nas. Były naprawdę nadzwyczajne. Kiedy wracałam z przesłuchania, zbita, zmaltretowana (a wracałam taka zawsze) – nie wolno było się położyć. Przesłuchania odbywały się tylko w nocy. Potem w dzień nie wolno było się położyć. Wszystkie musiałyśmy siedzieć, ale ja leżałam pod łóżkiem na sienniku. Jeżeli drzwi się otwierały, to te dziewczyny mnie wyciągały, sadzały i mimo iż leciałam przez ręce nieprzytomna, ale s i e d z i a ł a m. Wobec tego nikt nie był bity, bo tak, to dozorczyni lała batem po

głowach jak popadło. I tak dotrwałyśmy do wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 r.

A. S.: To był czerwiec.

W. O.: Niedziela. Już wiedziałyśmy, że jest wojna, oczywiście pojęcia nie miałyśmy, kto z kim walczy, ale ten niepokój dał się odczuć w całym więzieniu. Coś się działo niedobrego i tak trwało do czwartku. W czwartek wieczorem, nagle otworzono celę i stało się coś, co nie działo się nigdy. Bo na przesłuchania wywoływano dosłownie przez szparę i wartownik mówił: „Familia na «p», familia na «g»", żeby inne cele nie słyszały, że ktoś z tej samej sprawy idzie na przesłuchanie. Tym razem stało się zupełnie inaczej. Drzwi szeroko otwarte, dwóch wartowników na ostro i jeszcze śledczy z całą paczką akt i wywołuje głośno, wyraźnie każde nazwisko: „Zabieraj się z rzeczami. Wychodzić!". Wywołał wszystkie, nie wywołał mnie. I znów, proszę Pani, chciałam podkreślić delikatność tych prostych Ukrainek. Było rzeczą wiadomą, że jeżeli jest wojna i ludzi zabiera się z więzienia, to się ich zabiera na jakiś transport. Natomiast ten, kto zostaje w celi, zostaje na śmierć. Żadna z nas nie dała tego po sobie poznać. Przeciwnie: „Helenka, masz koszulę, my idziemy do ludzi, ty będziesz sama". Druga powiedziała do mnie: „Wiesz, mam kawałek chleba, weź go, weź ten chleb...".

A. S.: Wspaniała gra...

W. O.: To rzeczywiście była gra. Wychodzą. Ja zostaję sama. Ta maleńka cela wydaje mi się ogromna. Jestem podenerwowana do ostatnich granic. Kiedy mnie wezmą? Kiedy mnie zastrzelą? Całą noc słyszę motory samochodów, szczekanie psów, pojedyncze strzały, krzyki.

A. S.: Czekanie na śmierć...

W. O.: Przeżyłam tę moją śmierć całkowicie. Rano mnie wywołano. Z całego oddziału kobiecego było nas pięć: dwie Polki, dwie Ukrainki i jedna Żydówka. Poprowadzono nas do szczytowego budynku, gdzie zawsze siedzieli mężczyźni, tam zamknięto w ogromnej celi. Nie było już ani jedzenia, ani wody, ani wyniesionej paraszy. Noc z piątku na sobotę była potworna. Lwów jest bombardowany i człowiek ma świadomość, że dzieje się coś strasznego i nie ma możliwości ucieczki. Dopiero koło południa usłyszałam za domem jakieś głosy. Wskoczyłam na parapet i zobaczyłam dużą grupę ludzi z opaskami Czerwonego Krzyża, więc zaczęłam walić w te deski i krzyczeć: „Ratujcie nas! Jest nas pięć kobiet! Ratujcie...!". I znowu ten moment oczekiwania. „Prędko – krzyczę – bo nas rozstrzelają!". Ci ludzie odkrzykują: „Tak, tak, idziemy was uwolnić". Czekamy. Wie Pani, jedne drzwi się walą, drugie, a ich jeszcze nie ma, trzecie. Wreszcie cela otwarta. Wybiegłam i od razu wpadłam w ramiona lekarza, którego doskonale znałam, z którym pracowałam przed wojną. „Proszę

Pani – mówi do mnie – krótko i węzłowato: Niemcy są pod Lwowem. Rosjanie uciekają. Musimy sprawdzić gabinety, czy nie ma waszych papierów, bo jak są i Niemcy wejdą, to was znowu zaaresztują". Gabinet jeden, drugi, trzeci – wszędzie puste okładziny. Nie ma żadnych papierów. Dobiegliśmy do takiej ogromnej sali, gdzie byłam przesłuchiwana przed pójściem do bunkra. Doktor otworzył drzwi, popatrzyłam i mało nie upadłam. Ta sala do sufitu była zawalona trupami, pełna pomordowanych nagich ciał. Zamknął te drzwi: „Niech Pani idzie, niech Pani stąd idzie!".

W poniedziałek rano weszli Niemcy. Na ulicach Lwowa był już taki zaduch rozkładających się ciał, że po prostu nie dało się oddychać. Zgonili Żydów z całego Lwowa do więzień. Otwarte więzienia, Żydzi wynoszą ciała pomordowanych, myją, układają na podwórzu więziennym. Ja, proszę Pani, wyszłam od doktorostwa, którzy mnie przygarnęli i pobiegłam do moich władz, do Kornela. Zameldowałam się i oddałam te zupełnie nieważne już meldunki. Następnie poszłam do więzienia i znalazłam wszystkie moje dziewczyny z celi. Pomordowane w sposób straszny. Zostawiłam przy każdej z nich kartkę z nazwiskiem.

A. S.: To było na Zamarstynowie, prawda?

W. O.: Tak, bo na Brygidki już nie poszłam. Słyszałam natomiast, że Niemcy zobaczyli tam świeży mur. Wobec tego kazali go rozbić. Gdy odjęli cegły, to wysypała się cała ogromna grupa mężczyzn, którzy byli tak upchani w tej małej celi, że umarli na stojąco i zastygli na stojąco. Wróciłam do Kornela, który taraz miał trochę więcej czasu dla mnie. Zaczęliśmy rozmawiać i w pewnym momencie usłyszałam: „Proszę Pani, nie mam odwagi tego powiedzieć, ale niech Pani idzie do Warszawy, bo przecież teraz są tu Niemcy. Niech przyjdą jak najprędzej kurierzy – ludzie, którzy nas teraz zorganizują i ustawią. Ale czy Pani pójdzie?". Bez zastanowienia odpowiedziałam: „Pójdę". Tym razem nie miałam już w Warszawie żadnych kłopotów. Kontrwywiad od razu mnie przyjął i doprowadził do dowództwa. Przydzielono mnie do wywiadu ofensywnego, do takiej komórki „Stragan", która była pierwszym punktem wywiadu ofensywnego po Komendzie Głównej. Mój szef – miły, mądry, wartościowy człowiek. Najpierw pracowałam jako łączniczka, ale szybko mianowano mnie szefem łączności tej komórki. Oczywiście szef łączności musi znać wszystkich. Nie znałam wszystkich, ale kogo nie znałam, to znałam jego łączników. Kiedy aresztowano Ludwika [2], to on zdra-

[2] Chodzi o Ludwika Kalksteina, oficera wywiadu AK, który w czasie śledztwa przeszedł na stronę wroga i był później sprawcą rozległej „wsypy" w Oddziale II KG AK, a następnie aresztowania gen. Roweckiego-Grota. (Przyp. T. Strzembosz).

dził mieszkanie mojego szefa. Niemcy tam siedzieli kilka miesięcy i w końcu upilnowali kogoś, kto stamtąd szedł do nas. Aresztowano mnie z 26 na 27 VIII 1942 r. w nocy. Poprzedniego dnia Komenda Główna przysłała walizkę pieniędzy i kartek żywnościowych dla wszystkich wywiadowców, jakich mieliśmy w kraju i poza krajem. Zresztą robione były przez Stanisława Jankowskiego.

A. S.: Agatona?

W. O.: Tak, on był mistrzem w podrabianiu m.in. dokumentów. I ta walizka to było moje wielkie nieszczęście. Niemcy za wszelką cenę chcieli „wybić" ze mnie nazwiska czy punkty kontrolne tych 280 osób. To była listwa pseudonimów, jednak oni za wszelką cenę chcieli tych ludzi poznać i do nich dotrzeć. Ja stałam na drugim biegunie i nie chciałam w żadnym wypadku tego powiedzieć. Przesłuchania były tak ciężkie, że doprowadziły mnie, praktykującą katoliczkę, do samobójstwa. Do zażycia trucizny. Ale wyroki Boskie były inne, ponieważ zażyłam ją w dzień, Niemcy mnie odratowali. Ja po prostu nie wytrzymywałam już śledztwa. Ponad trzy miesiące byłam na Szucha.

A. S.: To było tych pięćdziesiąt sześć przesłuchań?

W. O.: Pięćdziesiąt sześć przesłuchań. Ręce skute do tyłu, tylko do jedzenia przekuwano mi je naprzód. Ponad trzy miesiące nie rozbierana, nie myta, nie czesana. Rozkuta byłam tylko na te parę minut, kiedy szłam do toalety. Mogłam umyć czubek nosa, wytrzeć się w spódniczkę, bo nie miałam nic. Poza tym przesłuchania toczyły się bez przerwy i bez końca. Bicie, kopanie. Ja dodatkowo miałam pecha, że na pierwszym przesłuchaniu, które było wyjątkowo brutalne, spadając ze stołka uderzyłam głową o piec. Taki żelazno-kaflowy i pękła mi czaszka. Oczywiście wtedy nie miałam o tym pojęcia, to się okazało długo po wojnie. Tym niemniej wtedy byłam naprawdę nie do życia. Traciłam przytomność w tym okresie bardzo często. Niemcy mieli swoisty sposób przywracania ludziom przytomności. Lali wodą i kopali.

A. S.: Nie miała Pani chwili zwątpienia, myślę o modlitwach do Boga... tam na Pawiaku?

W. O.: Nigdy, proszę Pani, nigdy! Opiekę Boską czułam namacalnie, ciągle i bez przerwy. Na przykład: już jest moment, że nie wytrzymuję. Już... już powiem, bo nie mogę tego znieść. Jestem tak zbita i zmaltretowana. Jeszcze się modlę, jeszcze w o ł a m d o B o g a o pomoc. Nagle telefon! Mój śledczy wychodzi na 10 minut, a kiedy wraca – ja już jestem silna. Mogę zacząć od początku.

A. S.: Przesłuchania trwały pięć miesięcy?

W. O.: Ponad trzy miesiące na Szucha i dwa miesiące na Pawiaku. Cały czas

w izolacji. Prosiłam we wszystkich grypsach: „Spowodujcie, żebym mogła wyjechać. Zapłaćcie, żebym tylko mogła wyjechać".

A. S.: A więc chciała Pani jechać do obozu koncentracyjnego?

W. O.: Obóz miał być dla mnie wyzwoleniem. Nie będzie przesłuchań, nie będą mnie pytać, nie będę musiała błagać bez przerwy i bez wytchnienia, żeby Bóg mi pozwolił milczeć, żeby pomógł nie wydać nikogo. 17 I 1943 r. był transport, o którym mi powiedziano przez drzwi, pukając do mnie: „Ciebie nie ma na liście". Byłam przerażona, ale w ostatniej chwili wpadł Niemiec do mojej celi: „Name, Vorname. Raus!". I ja w rannych pantoflach (ciepłych! w takich bamboszach, które dostałam od patronatu, kiedy wróciłam z Szucha), juz w sukience ciepłej, w pończochach, w bieliźnie, chwyciłam tylko koc z pryczy i wybiegłam na podwórze. Jechałam tak szczęśliwa, tak nieprawdopodobnie szczęśliwa, że wyjeżdżam od tych śledztw, od tego bicia, od tego odczłowieczenia człowieka. Poza tym będę z ludźmi... Proszę Pani, pięć miesięcy nie rozmawiać z człowiekiem? Bo ciągle Niemców uważałam za takich ćwierć ludzi...

A. S.: Jechała Pani na Majdanek z wyrokiem: dwa lata obozu i kara śmierci.

W. O.: Kara śmierci wypadała na sierpień r. 1944. Ostatnie godziny, ta ostatnia noc to było coś potwornego.

A. S.: To już było w Oświęcimiu, prawda? Majdanek był ewakuowany w kwietniu 1944 r.

W. O.: Tak. Ewakuowano w ten sposób, że zdrowe i silne więźniarki jechały do Ravensbrück, ale ja zgłosiłam, że nie zostawię chorych. Z tego względu dr Perzanowska i ja pojechałyśmy do Oświęcimia. Tam było mi niesłychanie trudno, ponieważ wyrzucono mnie z pracy w szpitalu.

A. S.: Dlaczego?

W. O.: Za bardzo pomagałam chorym. Zaczęła się praca w polu, przy żniwach, przy regulacji Wisły, przy kopaniu rowów do melioracji – to było ponad moje siły. Ale znowu, wie Pani, przyjaźń. Przyjaźń ludzka to jest coś, co góry przenosi. Za mnie pracowały koleżanki, dosłownie wlokły mnie z komanda do bloku. Nie pozwoliły mi zginąć. Jednak czas mijał i ten moment ostatnich godzin przed wyrokiem był bardzo trudny... Nie mogłam pogodzić się z tym, że właśnie teraz, kiedy jestem czynna, kiedy jestem potrzebna, kiedy kończy się wojna – ja mam umrzeć! Jak zachować twarz? Jak się nie dać upodlić? Jak nie dać się złamać? Kiedy z drugiej strony człowiekowi jest tak strasznie trudno umierać... I nadchodzi ten ranek. Czy mam się żegnać z koleżankami? Nie! Za nic, bo przecież się rozkleję. Na apel, prędko na apel i niech to się stanie... Z apelu wywołają mnie do bunkra. W bunkrze zastrzelą czy powieszą... I nagle... krzyk...

gong... wali się... Komenda: „Wychodzić wszyscy!". Ewakuacja Oświęcimia. Czy Pani to rozumie? E w a k u a c j a obozu!

A. S.: To był styczeń 1945 r.

W. O.: Wybiegłam na pole lagrowe. Widzę Niemców. Stoją. Całe stosy papierów, dokumentów, legitymacji. Palą to wszystko, podnoszą papiery jakimiś drągami żelaznymi, bo nie chce się palić, czymś polewają. Myślę sobie, mój Boże...

A. S.: Pali się Pani wyrok śmierci!

W. O.: Pali się mój wyrok śmierci... Jestem w o l n a. Następuje ewakuacja w nieznane. Idziemy (75 tys. kobiet i ponad 100 tys. mężczyzn) szosą piątkami. Stanowimy tłum na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Śnieg, mróz, na drewniakach nabijają się wielkie obcasy śniegowe. Ludzie łamią ręce, nogi. Jeszcze ręka to drobiazg... bo się przywiąże na pasku, ale noga? Ludzie ze wsi rzucają nam stołki, przewracamy je do góry „nogami", między które ładuje się kobiety i tak się za te „nogi" stołka ciągnie. Żeby nikogo nie zostawić. Z dwóch stron szosy rozstrzelani ludzie – kto wyjdzie z kolumny, Niemcy strzelają bez pytania. Proszę to sobie wyobrazić: biały śnieg i ogromne plamy krwi... Tych ludzi zabitych niektórzy znają. Tu krzyk, bo to mąż, tam krzyk, bo to syn. Ale nie wolno podejść, nie wolno wyjść z kolumny. Krzyk był ostatnim pożegnaniem najbliższych. Żadnego picia, żadnego jedzenia. Ludzie stali z wodą, mlekiem, ale Niemcy nie pozwolili nic wziąć. Proszę Pani, fizyczne potrzeby załatwiałyśmy w kolumnie...

A. S.: Gdzie był kres tej strasznej wędrówki?

W. O.: Doprowadzono nas do Wodzisławia i tam załadowano na lory, wagony towarowe, takie bez dachu. Dojechałyśmy do Revensbrück. Tam nie było dla nas miejsca. To był bardzo mały obóz z wieloma podobozami. Sam obóz przygotowany na 10 tys. a nas przyszło 25 tys. Wobec tego Niemcy postawili ogromny namiot cyrkowy i nas wgonili pod ten namiot. Nie było tam żadnej słomy, sienników, pryczy, w ogóle nic – goła ziemia i namiot. Wszystkie byłyśmy zmęczone śmiertelnie. Padamy, gdzie kto może. Żeby się położyć, trochę wyciągnąć, żeby usnąć... Rano obudziłyśmy się w grząskim błocie. Pod nami ziemia rozmiękła. Kuchnia w żaden sposób nie mogła nastarczyć z jedzeniem. Koleżanki z Pawiaka i dawne z Ravensbrück dzieliły się z nami.

A. S.: Jak trudno jest się dzielić miseczką zupy i jedną kromką chleba...

W. O.: ...kiedy człowiek sam jest głodny, bardzo głodny, a mimo to przełamuje małą kromkę chleba na pół... Robiły to. I tak przetrwałyśmy około trzech tygodni. I nagle był jakiś transport, nie wiedziałyśmy, gdzie. Moja „rodzinka" stwierdziła: „Słuchajcie, zgłaszamy się. Nigdzie nie będzie gorzej, a może będzie lepiej". Wywieźli nas osobo-

wym pociągiem (to już był luty) w szczere pole. Pociąg stanął. Słyszymy komendę: „Wysiadać". Wszystkie jesteśmy przekonane, że nas rozstrzelają, więc nikt nie chce wychodzić z tego pociągu, ale naturalnie: kolby, krzyki, kopniaki. Wychodzimy. Jest stodoła. Gnają nas do tej stodoły. Znów wszystkie myślimy, że nas rozstrzelają.

A. S.: Znowu bała się Pani śmierci, po raz któryś.

W. O.: To jest idiotyczne uczucie: taki strach. Jakkolwiek człowiek od początku wojny był przygotowany na śmierć, to jednak bezpośrednie spotkanie z kostuchą wydaje się takie okropnie trudne. Tymczasem wgoniono nas do stodoły. Była tam słoma. Zostawili drzwi otwarte i odjechali. Jesteśmy w szczerym polu, bez żadnej opieki, bez żadnej kontroli, szczęśliwe, zagrzebane w słomie, ale... głodne. Na szczęście jest studnia koło tej stodoły. Wobec tego mamy wodę, a to już jest ogromny plus.

A. S.: Jak długo byłyście same?

W. O.: Niemcy przyjeżdżali codziennie. Jednego dnia przywozili dla każdej cieniutką kromeczkę chleba, drugiego dnia ćwierćlitrowy garnuszek brukwianki. Przywożą, rozdadzą i odjeżdżają. Doprowadzili nas do tego, że jak po dwóch tygodniach przyjechali inni Niemcy i zaczęli wołać: „Służba sanitarna wystąp" – a ja powiedziałam do tych moich koleżanek: „Słuchajcie, chodźmy. Zawsze jeżeli jesteśmy potrzebne, to będzie coś troszeczkę lepiej" – to wyszłyśmy do nich na czworakach, bo już na nogach żadna z nas utrzymać się nie mogła. Niemcy byli przerażeni naszym wyglądem tak dalece, że zrobili coś, czego by inaczej nie zrobili: ustawili skrzynki, żebyśmy mogły do tej budy samochodu wejść na czworakach. Proszę mi wierzyć, żadna z nas nie była w stanie zrobić tego inaczej. Zawieźli nas do obozu Neustad-Glève. W tym obozie była fabryka części samolotowych i tam pracowały tylko kobiety po Powstaniu Warszawskim. Zaczęły chorować i Niemcy musieli otworzyć jakiś pseudo-szpital. Organizowałyśmy ten szpital z wielkimi trudnościami. Jedną deskę do pryczy dźwigało nas osiem i nie byłyśmy w stanie jej donieść, a już założenie jej na haki było ponad nasze siły. Musieli przyjść Niemcy i to zrobić. Zaczęła się znowu praca szpitalna. Trudna, ciężka, bo bez leków, bez jedzenia. Tyfus brzuszny, tyfus plamisty, zapalenia płuc – wszystko, co kto chciał.

A. S.: Zbliżał się koniec wojny...

W. O.: 2 V 1945 r. ani następnego dnia Niemcy nie dali nam jeść. Tłum kobiet nie poszedł do pracy. Stały wszystkie na placu apelowym, cicho czekały, patrząc na kuchnię, która była bardzo daleko. Myślały, że przyniosą im jakieś jedzenie. Przed komendanturą, na stopniach stało dwóch Niemców z bronią gotową do strzału. Za drutami stały samochody – wszystkie na pełnym gazie. Przyszedł rozkaz, aby Nie-

mki więźniarki wyszły za druty, więc już wiedziałyśmy, że to jest koniec. I w pewnym momencie ci dwaj Niemcy, stojący pod komendanturą posiali bronią po tym tłumie kobiet. Zrobiło się zamieszanie, samochody odjechały. Byłyśmy wolne, ale kilkadziesiąt osób zostało ciężko lub lekko rannych i nie mogłam dać im ratunku. Postrzały płuc, postrzały brzucha, głów – byłam zrozpaczona. Wiele kobiet pobiegło do niemieckich baraków w poszukiwaniu jedzenia. Niemcy zostawili nie tylko jedzenie, ale i alkohol. Tylko nikt nie wiedział, nie przypuszczał, że to może być... zatrute. I te kobiety zginęły.

A. S.: Nie sposób sobie to wszystko wyobrazić.

W. O.: Byłam, proszę Pani, zrozpaczona i bezsilna.

A. S.: Na Pani oczach ginęły koleżanki w dniu odzyskania wolności.

W. O.: To było właśnie najtragiczniejsze. I to – w jaki sposób zginęły. 3 maja do obozu wjechały czołgi amerykańskie. Żołnierze żuli gumę, dali nam trochę czekolady, jakichś sucharów. Zrobili fotografię tego stosu trupów, tych szkieletów ludzkich wynędzniałych do ostatka i powiedzieli nam, że ten teren jest przeznaczony dla wojsk radzieckich, a oni wycofują się.

A. S.: I odjechali.

W. O.: Na drugi czy na trzeci dzień przyszły wojska radzieckie. My wybrałyśmy się w drogę i tak trochę piechotą, trochę nas ktoś podwiózł – dotarłyśmy do Poznania. Byłyśmy we dwie na stacji. W oknie pociągu stoi oficer w polskim mundurze, w rogatywce. Podbiegłam do niego: „Proszę pana, wracamy z obozu, niech pan nam pomoże, tak zapchany ten pociąg...". A on na to po rosyjsku: „Więc nie pojedziecie tym pociągiem. Przyjedzie następny, wielkie rzeczy".

A. S.: Jak Pani zareagowała?

W. O.: Tylko dyscyplina jeszcze istniejąca w człowieku sprawiła, że myśmy go nie zlinczowały. Oczywiście, potem poszłam po rozum do głowy i pomyślałam, że ten człowiek był zesłany do Rosji – nie wiadomo, ile lat, być może od dziecka, mówił po rosyjsku, co on jest winien?

A. S.: Tyle razy już zadawano to pytanie: skąd znalazła Pani w sobie tyle dzielności i siły? Niby to było jasne, jak zachowywać się podczas wojny, ale zawsze, odpowiadając na to pytanie, wspomina Pani swój dom rodzinny.

W. O.: Tak. Na pewno. Dom rodzinny to jest w ogóle sprawa najważniejsza. Ojciec mojej matki był w powstaniu 1863 r. Po tym powstaniu, po tych strasznych przejściach pierwszą rzecz, jaką zrobił – to uwłaszczył chłopów. Umarł bardzo wcześnie. Mój ojciec przyszedł do tego majątku...

A. S.: Do Kunic?

W. O.: Właśnie tam objął gospodarstwo. Moi rodzice to byli patrioci, ludzie, którzy czekali na wolną, wyzwoloną Polskę. Całym swoim postępowaniem dążyli do tego. Wychowując nas, o tym tylko mówili, myśleli, tak pracowali. Bóg i Ojczyzna. Była nas siódemka rodzeństwa i wieczorami mamusia czytała książki. Nie czytało się jakichś tam powieści, tylko to, co dzieci i młodzież rzeczywiście uczyło bohaterstwa, obowiązku wobec ojczyzny, miłości ojczyzny. Brat mój, młodszy, nie wiem, ile miał lat – może sześć – to list księcia Józefa do króla deklamował ojcu na imieniny. I tu nie chodziło o to, że on się wyuczył tego na pamięć. On to odczuwał, on to rozumiał: „Bat'ku Josifie na armaty wiedź...!". On to już rozumiał. Proszę Pani, byłam z mamą w Warszawie, to już było po wyzwoleniu, po 1920 r. Szedł oddział polskich żołnierzy ze sztandarem i moja matka płakała, łzy jak grochy.

A. S.: I Pani, po raz pierwszy podczas tej rozmowy zaszkliły się oczy...

W. O.: Bo ja to tak bardzo wtedy przeżyłam i pamiętam, że spytałam: „Dlaczego mamusia płacze?". „Patrz i pamiętaj" – to była jej odpowiedź.

A. S.: Dalsze losy Pani i rodzeństwa jakby tego dowiodły.

W. O.: Owszem. I tak: najstarsza moja siostra pracowała ze mną w konspiracji – zginęła w Oświęcimiu. Druga z rzędu uczyła wiejskie dzieci i pomagała gdzie mogła. Trzecia z kolei uratowała czteroletnią dziewczynkę znad rowu, gdzie rozstrzelano Żydów. Teraz ta uratowana jest pięćdziesięciokilkuletnią kobietą i mieszka w Izraelu. Zawsze odnosiła się do mojej siostry jak do matki, swojej matki nie pamiętała. Do dziś utrzymuje z nami kontakt. Ta sama siostra uratowała drugą dziewczynę, też Żydówkę, której całą rodzinę rozstrzelano.

A. S.: Miała Pani jeszcze braci.

W. O.: Brat był w Podchorążówce, a więc Bzura, obrona Modlina. Zwolniony z Modlina z białą bronią. W listopadzie przyjeżdża do Warszawy w pełnym mundurze i z bronią. On i kolega mają pisma niemieckie: „Za bohaterską obronę Modlina mogą wyjść i wrócić do domu tak, jak są ubrani". Przyjechali do mojej siostry, a ona się za głowę złapała: „Chłopcy, zmiłujcie się ludzie, przecież wy musicie się przebrać!". Bardzo szybko się przebrali. Brat się dowiedział o Hubalu. Zapakował mundur do walizki i pojechał do lasu. Był adiutantem Hubala aż do jego śmierci. Potem nadal pracował w konspiracji. Oczywiście brał udział w Powstaniu Warszawskim, dostał Virtuti Militari[3]. A więc, czyż dom rodzinny nie jest czymś najważniejszym, jeśli chodzi o ukształtowanie człowieka?

[3] Chodzi o por. Henryka Ossowskiego, pseud. Dołęga, adiutanta mjr. Henryka Dobrzańskiego-Hubala. (Przyp. T. Strzembosz).

A. S.: Zaczęłyśmy naszą rozmowę od pytania: co czuła Pani, co przeżyła i co myślała podczas III Pielgrzymki Ojca Świętego do kraju. Wiem, że dostała Pani na Boże Narodzenie '88 bardzo piękny list od Jana Pawła II.

W. O.: Kiedy Ojciec Święty polecił nam na Majdanku: „być świadkami", to w tym roku, po takim długim czasie, czułam się w obowiązku jakoś powiadomić Ojca Świętego, że spełniamy Jego polecenie. W odpowiedzi na mój list dostałam od Ojca Świętego list, który mnie wzruszył, doprowadził do łez i nieopisanej radości. A brzmi on tak: „Czcigodna Pani. Ogromnie dziękuję za Jej list z 12 listopada. Mam jeszcze w oczach nasze spotkanie na Majdanku. Zapadło ono głęboko w moją świadomość. Wiem, że rozmawiałem wówczas z osobą, która jest autentycznym świadkiem najwyższej próby. Proszę przekazać wyrazy czci i braterskie pozdrowienia wszystkim żyjącym jeszcze więźniom i bohaterom walki o Polskę. Jak dobrze, iż ich świadectwo, a w szczególności świadectwo Pani dociera do nowych pokoleń tak zagrożonych w sferze istotnych wartości i prawd. Proszę przyjąć ode mnie wigilijny opłatek oraz życzenia, aby Chrystus błogosławił Pani i wszystkim. Jan Paweł II".

A. S.: Jakie były losy tego niezwykłego opłatka?

W. O.: Rozumiałam, że w intencji Ojca Świętego jest, aby opłatek został podzielony między tych więźniów, którzy jeszcze żyją. Wobec tego pokroiłam go żyletką na kilkadziesiąt drobnych kwadracików i na naszym spotkaniu opłatkowym – byłych więźniów w klubie Majdanka – podzieliliśmy się wszyscy tymi okruchami. Przyjmując błogosławieństwo Ojca Świętego i życząc Mu sił, zdrowia, mocy na wiele, wiele lat Jego pontyfikatu.